Rok VII. Kraków, wrzesień 1932. Nr. 1

BŁYSKI

PISEMKO
UCZENIC PRYW. SEM. NAUCZ. ŻEŃSKIEGO T. S. L.
im. Fr. PREISENDANZA W KRAKOWIE.

Ś. p. Michalina Mościcka

Było to niedawno, zaledwie miesiąc temu, kiedy rozeszła się smutna wiadomość, że małżonka Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Michalina z Czyżewskich Mościcka — nie żyje. Z najgłębszym smutkiem przyjął tą wieść naród cały, najserdeczniejsze myśli biegły, ku pogrążonemu w bólu Prezydentowi, którego w tak krótkim przeciągu czasu spotyka już trzeci bolesny cios, wydzierając Mu tym razem drogą towarzyszkę życia.

Ze śmiercią Pani Mościckiej traci społeczeństwo nasze jednostkę, których mamy tak mało, a których nam tyle potrzeba! Ś. p. Prezydentowa Mościcka była dla nas niezrównanym przykładem cnót. Idealna żona, troskliwa i kochająca matka—poiła wszystkich otaczających miłością, wiarą i nadzieją, niosąc potrzebującym ofiarną pomoc. Wyznawała hasło: rany obmywać, nędzę łagodzić, duszę krzepić i podnosić, własnego serca krwią bliźniemu służyć! W imię tego hasła szła przez całe życie z nieugiętą wolą, szła, wiedząc że Jej praca i trud wyjdzie Bogu na chwałę, a ludziom na ulgę i pożytek. Ś. p. Michalina Mościcka z domu Czyżewska urodziła się w roku 1872 w ziemi płockiej. Do szkół uczęszczała w Płocku, a po ukończeniu gimnazjum i uzyskawszy patent nauczycielski, zamierzała poświęcić się temu zawodowi. Życie jednak inaczej pokierowało Jej losem.

Jako dwudziestoletnia panna, zaślubiła w roku 1892 absolwenta politechniki ryskiej, Ignacego Mościckiego i wkrótce, po ślubie wyjechała, z nim zagranicę na wspólną tułaczkę, do której zmusiło Jej

męża prześladowanie władz rosyjskich za Jego udział w ruchu niepodległościowym. W czasie tej 20 lat trwającej tułaczki, najpierw w Londynie, potem we Fryburgu szwajcarskim, wypełnionej zwłaszcza w pierwszych latach walką o byt, p. Mościcka odpowiedziała godnie swym zadaniom i obowiązkom, stworzywszy na obcej ziemi i wśród obcych ludzi pełne ciepła i serdeczności ognisko rodzinne, którego atmosfera mężowi Jej dodawała sił i podniety do prac naukowych. Jako gorąca patrjotka, oddana całym sercem idei niepodległościowej, brała żywy udział w życiu emigracji polskiej, a Jej dom zarówno w Londynie jak i we Fryburgu, był ogniskiem ruchu intelektualnego i organizacyjnego rodaków.

Z chwilą przeniesienia się pp. Mościckich do Lwowa otworzyło się przed p. Mościcką szerokie pole pracy. Wzięła Ona z całym zapałem gorący udział w życiu politycznem i społecznem, a dzięki doświadczeniu zdobytem zagranicą i wybitnej umiejętności organizacyjnej, odegrała wybitną rolę w całym szeregu stowarzyszeń o zadaniach obywatelskich i humanitarnych. Działalność na tym polu zjednała Jej popularność i uznanie w szerokich kołach, czego wyrazem było powołanie Jej w skład Rady miasta Lwowa.

Szczególne zasługi położyła p. Mościcka w dziedzinie pracy obywatelskiej kobiet. Należy tu wymienić Jej działalność w Lidze kobiet, której była przez dłuższy czas przewodniczącą, pracując z zapałem i oddaniem w tej organizacji. Z chwilą wybuchu Wojny poświęca siły swe i energję sprawie Legjonów, jako niestrudzona pracownica i entuzjastka idei niepodległościowej. Czuła się dumną, że oddała na służbę Ojczyźnie nietylko pracę i trud osobisty ale także i to co miała najdroższego — dwóch synów starszych, którzy na pierwszy zew pospieszyli pod legjonowe sztandary. Piękną kartę w życiu Ś. p. Michaliny Mościckiej stanowi Jej udział w pamiętnej i bohaterskiej Obronie Lwowa w latach 1918—1919. Jedyna Jej córka Helena była jedną z pierwszych wstępujących w szeregi Ochotniczej Legji Kobiet, zaś p. Mościcka pracowała w innych organizacjach działających na terenie Lwowa.

Wiele ma do zawdzięczenia Ś. p. Prezydentowej Mościckiej, Jej wysokiej ideologji—Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Jako małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej kierowała całym szeregiem instytucji obywatelskich, wykazując w każdej dziedzinie pracy publicznej niewyczerpane zasoby energji, ofiarności, serca i rozumu. Przykładem tej pracy pozostanie Jej czynny udział w zorganizowaniu owocnej w skutkach pomocy dla ofiar olbrzymiej powodzi, jaka w lecie 1927 roku nawiedziła Małopolskę. Ś. p. Prezydentowa zaincjowała wówczas akcję ratunkową w całym kraju i stanęła na czele utworzonego w tym celu w Warszawie Centralnego Komitetu Społecznej pomocy ofiarom powodzi. W odpowiedzi na apel Komitetu popłynęły ze wszystkich stron Polski ofiary dla powodzian, we wszyskich dzielnicach państwa zorganizowano pomoc, tworząc w tym

celu komitety wojewódzkie i miejskie. Poza doraźną pomocą finansową i gospodarczą akcja ta zajęła się dostarczaniem powodzianom żywności, odzieży i dachu nad głową, jak również roztoczeniem opieki nad dziećmi, których dożywianie stało się jednym z głównych zadań Komitetu.

Zorganizowawszy cały aparat ratowniczy Ś. p. Prezydentowa Mościcka udała się na czele specjalnej delegacji do miejscowości najbardziej dotkniętych klęską; gdy zaś nadszedł moment zlikwidowania akcji tak bardzo potrzebnej i w skutki owocnej, Ś. p. Pani Prezydentowa zainicjowała utworzenie z pozostałych funduszów ośrodków zdrowia i opieki społecznej na terenach powodziowych, co następnie rozszerzyło się i nabrało charakteru ogólno—społecznego w całem państwie. W ten sposób powstało piękne dzieło, związane nierozerwalnie z imieniem swej Inicjatorki i Twórczyni, jako trwały pomnik jej miłosierdzia.

Ś. p. Prezydentowa Mościcka była przewodniczącą i protektorką całego szeregu organizacji o celach dobroczynnych, społecznych i humanitarnych, jak Przysposobienia Wojskowego Kobiet, Rodziny Wojskowej, Koła Przyjaciół Domu Akademiczek, Komitetu Pań Pomocy dzieciom, Ochronki i Internatu im. Marszałka Piłsudskiego we Lwowie, założycielką i protektorką bursy w Spale, Komitetu dożywiania dzieci niższych funkcjonarjuszów Zamku i Łazienek i t. d.

Ś. p. Pani Prezydentowa Mościcka, w której sercu biło zawsze żywe tętno Polski, godna jest tego, aby niespożyty trud Jej żywota, tak obfity w czyny i zasługi przechować we wdzięcznej pamięci i przekazać do naśladowania wszystkim.

Jej śladami idąc, zdążać będziemy do swego i Ojczyzny dobra.

Jesień.

Idzie na pola —
samotna i zcicha
żałośnie wzdycha.

Rzuca na sady
barw cudnych tęcze —
nitki pajęcze.

Przez mgieł tumany
Słońca promienie
sieje na ziemię.

W dalekim lesie
wyzłaca liście;
ziół polnych kiście.

Role i łąki
nićmi oplata
babiego lata.

Spokój i ciszę
na pola niesie,
poważna jesień.

Stanisława W. nauczycielka w Glewcu.

Zadumała się ziemia. Na trawie srebrzą się łzy rosy—pustoszeją lasy i sady, otulone chłodną mgłą... Złote i purpurowe liście szemrzą ostatni swój śpiew, cicho spadają i ścielą się na ziemi wrzorzystym kobiercem.

Coraz rzadziej echo unosi w dal wesołą pieśń rolnika — coraz rzadziej rozpływa się w powietrzu głos fujarki pastuszej.

Klucz żórawi ciągnie wysoko pod blado uśmiechniętem niebem i żegna srebrem pajęczyn otulone pola — dążąc ku jasnej, wesołej krainie słońca...

H. Zbrońcówna (Kraków)

Z Polesia.

W czasie ubiegłych wakacyj po raz piąty dostałam zaproszenie do Lisznej — wsi położonej o 20 km. na południe od mojej wioski rodzinnej na Podlasiu, gdzie zwykle spędzam miesiące letnie. Chociaż niewiele miałam czasu na podróże, ciekawość mnie skusiła, Liszna bowiem leży tuż przy granicy województwa poleskiego nad Bugiem.

Pewnego upalnego dnia dosiadłam roweru i około południa puściłam się w drogę. Przebyłam szybko pierwsze 4 km. i znalazłam się w Tucznej. Mieszkańcy tej wsi i kilku innych w powiecie bialskim—są prawdopodobnie potomkami smolarzy, którzy przed wiekami przybyli do lasów okolicznych z Mazowsza i założyli tu osadę. Dziś z tej osady rozrosła się wieś ciągnąca się na przestrzeni kilku kilometrów. Jest tu kościół, poczta i siedmioklasowa szkoła mieszcząca się w ślicznym budynku. Ksiądz i nauczyciele pracują nad ludem, tworząc stowarzyszenia dla młodzieży i dorosłych, kultura i postęp we wsi się szerzy, jednak do chwili obecnej ludność zachowała wszystkie swoje zwyczaje, obyczaje i mowę mazurską. W dalszej drodze minęłam opodal szosy rozłożone Międzylesie i Krzywowólkę. Obie te wsi stojące kulturalnie o wiele niżej zamieszkane są przez ludność mieszaną: katolicką i prawosławną. Potem przejechałam Żańków, wieś podobną do Tucznej i żadnego już osiedla nie widziałam aż do samej Lisznej. Zdawałoby się, że w takiem pustkowiu droga była nudna, tymczasem ani się spostrzegłam, kiedy znalazłam się u kresu podróży, spotkawszy tylko parę rusinek idących z koszykami po grzyby. Piękna pogoda, malownicze widoki, śpiew ptasząt i podlaski widnokrąg, jakby bezkresny, tak mi podróż skróciły.

Wieś Liszna jest dużą osadą rozłożoną po obu stronach szerokiej drogi i nad Bugiem równoległe do niej płynącym. Osiedla toną w zieloności drzew owocowych, otaczających każdą zagrodę. I ta, do której zawitałam, była do innych podobna.

Zaledwie zdążyłam przywitać się, odświeżyć i pokrzepić po podróży—wyruszyliśmy furą po brusznice do Dąbrowy oddalonej o kil-

kanaście kilometrów na wschód. Tu zaczynał się kraj przezemnie zupełnie dotychczas nieznany—Polesie. Na podstawie opisów wyobrażałam je sobie jako smutne bagniste pustkowie w roślinność ubogie, w krajobrazie monotonne. Tymczasem Polesie— to piękny kraj, swoistym czarujący urokiem. — Droga nasza biegła wzdłuż rozległych łąk nadbrzeżnych usianych kępami drzew i krzewów. Tu i tam odnoga Bugu błękitną wstęgą przecinała zieleń traw. Podobno podczas wiosennych roztopów całe te przestrzenie zalane są wodą; jak okiem sięgnąć—nigdzie skrawka suchego gruntu nie widać, a osiedla komunikują się ze sobą przy pomocy łodzi.—Minąwszy odległe majaczące w dali wsie, wjechaliśmy do Jabłecznej. Tu zwróciłam uwagę na piętrowy budynek. Przed pięcioma laty mieściła się tu „preparanda" kształcąca przyszłych nauczycieli — dziś jest to dom Ochrony Bezrobotnych. Za wsią Nowosiółkami, zupełnie ukrytej w gąszczu olszyny, ciągną się wzdłuż Bugu Małe i Duże Mościska powszechnie Holendrami zwane. Nazwa ta powstała stąd, że przodkowie dzisiejszych mieszkańców Mościsk byli to koloniści przybyli z Holandji. Ludność Mościsk zatraciła tylko mowę swych ojców, natomiast religją zwyczajami i sposobem gospodarki różni się dotychczas od rdzennych mieszkańców Polesia. Mościska, zajmujące swym szarem przeszło 11 km. słyną z urodzajnej gleby i bogactwa. Zwiedziłam dokładnie tę wieś i postaram się opisać w następnym numerze „Błysków" to, co mi się ciekawem zdawało.

Skończyła się droga łąkami i wjechaliśmy do Monastyru — klasztoru prawosławnego. Tu oprócz cerkwi zbudowanej w stylu bizantyjskim zobaczyłam dwie kapliczki, niedaleko siebie stojące, przeznaczone na pacierze nocne mnichów. Obie są jednakie, zbudowane z czerwonej cegły i uwieńczone ośmiobocznemi wieżyczkami o zdobnych w witraże oknach. Wyglądają jak cacka! Za klasztorem czekała nas przeprawa na promie przez Bug—z furą i końmi. Rzeka mieniła się całem bogactwem barw w blaskach zachodzącego słońca. Promienie jego złociły zarośla nadbrzeżne i sterczące w oddali słupy spalonego mostu, świadki najazdu bolszewickiego.

Na przeciwległym brzegu znajduje się Żeńska Szkoła Rolnicza w Otokach mająca do użytku 20 hkt. ziemi, wykrojonej z posiadłości popów w Monastyrze. Byli oni tak hojnie wyposażeni, że dziś, po rozparcelowaniu części gruntów z łąkami między ludność, po przejściu obszarów zalesionych na własność rządu — uchodzą za najbogatszych w okolicy. Przy szkole widziałam ogromne sterty zżętego zboża, dużo kwiatów i jarzyn na grzędach, a zwłaszcza zdumiewające swą wielkością karpiele.

Na piaszczystym pagórku za szkołą, w niewielkim lasku sosnowym leży osada Otoki i stacja kolejowa. Dzięki dobrym warunkom klimatycznym, Otoki stały się, obok Domaczewa, letniskiem chętnie nawiedzanym przez mieszkańców okolicznych miast i miasteczek.

Za Otokami ciągnie się przestrzeń pokryta lasami, które przecina szosa brzesko—chełmska. Lasy te rosną na piasczystych wydmach wśród łąk podmokłych, koszonych tylko w zimie. Wśród sosen podszytych trzcinami i ubogą trawą gdzieniegdzie złoci się dziewanna i inne pięknie kwitnące rośliny, których nie znam.

Minęliśmy jeszcze jedną wioskę Midnę, którą już oglądałam przy świetle księżyca—potem droga prowadziła przez lasy. Tu już niewiele widzieć mogłam pomimo tego, że noc jasna była, jak rzadko kiedy: drzewa utrudniały obserwację. Puściłam więc wodze wyobraźni.

Około północy znaleźliśmy się nareszcie po półgodzinnem błądzeniu i trudach długiej podróży na polanie, wśród kilku zabudowań. To była Dąbrowa — cel naszej wycieczki — osada niemal zupełnie odcięta od świata, zbudowana na wykarczowanych gruntach, w samem sercu lasów.

Mieszkańcy osady zaledwie parę razy do roku wyjeżdżają do miasta po niezbędne zakupy, pozatem nie ruszają się ze swej Dąbrowy, prowadząc w niej spokojny i dostatni żywot. Niejeden gospodarz ma do 20 sztuk bydła i koni, gospodarstwo obszerne, mieszkanie dostatnie chociaż prymitywne, zważywszy na krótką przeszłość całego osiedla.

Pan Dąbrowy stopniowo swe dobra leśne rozparcelował i wysprzedał po bardzo nizkiej cenie, zostawiając dla siebie jedynie stawy ciągnące się szerokim pasem wzdłuż borów. Prowadzi gospodarstwo rybne na szeroką skalę, a pod koniec lata urządza dla zaproszonych gości polowanie na kaczki. Wtedy Dąbrowa rozbrzmiewa gwarem i strzelaniną. Nazajutrz byłam świadkiem tej zabawy.—W chwili przyjazdu byłam zdziwiona, słysząc dźwięki muzyki w tak zapadłym kącie: okazało się, że trafiłam na wyjątkowe dni—młodzież miejscowa i okoliczna zebrała się w Dąbrowie i uprzyjemniała sobie wieczory. Obchodzono święto zbierania brusznic.

Po dobrze przespanej nocy i ja poszłam do lasu. Uroku jego nie potrafię opisać. To co widziałam nasuwa porównanie z obrazami ze „Starej Baśni". Bór robi wrażenie krainy dziewiczej, nietkniętej niczyją ręką. Wśród niebotycznych sosen dumnie strzelających wgórę leżą od lat drzewa powalone, sędziwym mchem porosłe. Bujna roślinność krzewi się swobodnie dookoła: na podmokłym gruncie rośnie „bagno", rozsiewając aromatyczną woń, po torfowcu wiją się drobne gałązki żórawinnika, a na nim jak rozsypane korale, czerwienią się jagody, borówki przez nikogo niezbierane, czernieją gęsto dokoła, a kiście brusznic je rozjaśniają, jak gdyby barwna „rzucanka" wykończająca deseń bogatego kilimu. Żal było stąpać przed siebie. W takiej powodzi jagód, kwiatów, barw, zapachów przebyłam 3 dni. Tak mi było dobrze błąkać się w gęstwinie słuchając śpiewu ptasząt i powtarzając w pamięci opis matecznika. Nikt mi nie przeszkadzał, nikt rozmową czaru przyrody nie mącił, przesunęła się czasem jedna



Z. Surowianka.

—druga wieśniaczka w barwnej spodnicy, koszuli wyszywanej w popielatej świtce i w „postołach“ na nogach, zbierające brusznice do koszów z kształtu przypominających kołyski—a zresztą cisza i spokój panowały w cudownym starym borze...

Po trzech dniach idylla się skończyła, trzeba było wracać do domu.

Z. Makarewiczówna V. kurs.

Organizacja szkół w średniowieczu.

Z końcem wieku V-go kiedy Cesarstwo Rzymskie ostatecznie upada a społeczeństwa europejskie przyjmują nową wiarę chrześcijańską, system wychowawczy ulega gruntownej zmianie.

Poglądy dawnego świata dotyczące człowieka i jego wychowania —nie godzą się z ideałami nowej wiary. Kościół bierze teraz na siebie obowiązek wychowania i spełnia go w zupełnie odmiennym duchu. Przedewszystkiem mając na celu krzewienie wiary i zdobycie dla niej wszystkich ludzi, musi kształcić zastęp pracowników, którzyby podjęli się tego żmudnego zadania—zakłada więc dla nich szkoły o charakterze wybitnie kościelnym.

Jednak nie odrzucono zupełnie dawnego systemu wychowawczego. Twórcy nowych szkół, między innymi Kassiodar, rozumieli, że bez nauk starożytnych nie może się rozwinąć kultura, a Pismo św. nie będzie dostępne dla tych, którzy nie znają łaciny. To też program nauk w szkołach kościelnych składa się z dawnych siedmiu sztuk wyzwolonych, pod nazwą trivium i quadrivium.

Cała nauka odbywała się w języku łacińskim w celu wprawienia duchowieństwa w biegłe władanie tym językiem.

Pierwszym, który zrozumiał konieczność reformy szkolnictwa, był Karol Wielki. Zażądał on utrzymywania przy klasztorach i katedrach szkół dla chłopców, którzyby się uczyli tutaj śpiewu chóralnego, i dla kleryków pobierających wyższe wykształcenie.

Dawna tak wysoko ceniona retoryka nie miała w szkołach średniowiecznych zastosowania. Przekształcono ją w naukę układania listów, podań i dokumentów. Z nauk kwadrywjalnych dwie miały większe zastosowanie: astronomja—potrzebna do układania kalendarza i muzyka, konieczna do nauki śpiewu kościelnego. Sposób uczenia był suchy, przyjmowany przez młodzież bezkrytycznie—nauczycieli otaczano szacunkiem i uznawano ich autorytet. Od czasu do czasu naukę ożywiały zabawy urządzane przez młodzież a także doroczne święto młodzieży.

W wieku XIII-tym zaczynają do szkół uczęszczać synowie mieszczan i w tymże wieku rozwijają się szkoły parafjalne, kierowane nadal przez zakonników i księży. Mają więc one charakter kościelny, chociaż uczęszczają do nich uczniowie świeccy.

W tym też wieku rozwija się nowy prąd naukowy, t. zw. scholastyka, oparta na rozumowaniu i mająca za zadanie rozwiązywanie i uzasadnianie dogmatów religijnych. Wkrótce, kiedy zabrakło poważnych tematów, zaczęto silić się nad sposobem rozwiązywania coraz sztuczniejszych problemów. Duchowieństwo, które pierwsze ten prąd przyjęło, przykładem zapalało innych do pracy na tem polu. Oprócz szkół klasztornych i katedralnych poczęto otwierać gdzieniegdzie szkoły t. zw., zewnętrzne dla chętnych wiedzy synów rodzin szlacheckich. W tych szkołach spędzono czas na modlitwie, gromadzeniu dzieł i ich przepisywaniu. W szkołach klasztornych wykładali zakonnicy, w katedralnych zaś początkowo sami biskupi, później kanonicy — scholastycy, wreszcie osobni nauczyciele.

Z chwilą przeżycia się i upadku szkół klasztornych powstają nowe szkoły przy kolegjatach. Ponieważ klasztorne szkoły służyły wyłącznie duchowieństwu, to też zwracano w wychowaniu uwagę przedewszystkiem na karność i wyrobienie woli obok nabycia biegłości we władaniu łaciną. Największy nacisk spoczywał na nauce gramatyki. Już sam system jej uczenia nastręczał młodzieży niemało trudności, to też właśnie tutaj w największem użyciu była rózga. Gramatykę powszechnie przedstawiano na obrazkach jako panią z rózgą w ręce. Zaraz po przyjściu do szkoły dzieci musiały uczyć się pacierza po łacinie, co tem większą sprawiało im trudność, że nietylko języka ale i treści słów nie rozumiały. W późniejszych latach przychodziło wyuczanie się na pamięć słów i zdań łacińskich, które nauczyciel tak długo powtarzał, aż uczniowie zapamiętali. Taka nauka nie mogła postępować szybko naprzód, to też kilka nieraz lat tracono na to, czego dzisiaj dzieci mogą się nauczyć w jednym roku.

Parafjalne szkoły średniowieczne nie posiadały oddzielnych izb dla poszczególnych roczników—wszyscy uczniowie przebywali w jednej sali szkolnej, podzieleni na grupy według postępu w naukach, a bez względu na wiek. Szkoły te zakładano dla synów mieszczańskich potrzebujących umiejętności łaciny. Kierownikiem szkoły był kleryk ze stopniem magistra, mający do pomocy kantora i nauczycieli ze stopniem bakałarzy.

Po wsiach nauczycielami w szkółkach parafjalnych bywali niedokończeni studenci. W późniejszem średniowieczu każdy stan organizował według własnych potrzeb wychowanie swych synów.

J. Wadowska V. kurs.

Pierwsza hospitacja.

Czekałam na nią bardzo długo, bo od I. kursu i nareszcie doczekałam się!

Z domu pędziłam co tchu, żeby się nie spóźnić, a że zwykle przesadzam w pośpiechu, więc i tym razem przygalopowałam o 1/2

godziny za wcześnie. Czekałam więc na korytarzu i przypatrywałam się ciekawie nadchodzącym dzieciom z różnych klas.

Wreszcie zeszłyśmy się wszystkie i po odmówieniu modlitwy zajęłyśmy miejsca w klasie pierwszej. Sala robi bardzo miłe wrażenie, na ścianach poumieszczane są lalki, misie kotki i t. p. Każde dziecko ma osobny stołeczek, na którym może swobodnie się poruszać ani śladu dawniej używanych ławek! Wreszcie weszła nauczycielka i rozpoczęła lekcję. Z prawdziwą przyjemnością słuchałam jej przebiegu, tak swobodnie i miło była prowadzona. Dzieci odpowiadały szczerze na pytania, jedne więcej, drugie mniej śmiało, ale wszystkie brały udział w lekcji i były nią zainteresowane. Gdy które z dzieci zachowało się niestosownie, nauczycielka delikatnie zwróciła mu na to uwagę aby nie zniechęcić żadnego i nie zrazić do szkoły.

Niektóre odpowiedzi dzieci były bardzo naiwne nieraz zabawne, tak że z trudem powstrzymywałyśmy śmiech aby nie zachwiać swojej „powagi". Na pytanie nauczycielki, co dzieci widzą w klasie, jedna z dziewczynek odpowiedziała: portret pana Mościckiego. „Kim jest pan Mościcki?" —„Piasecki!" rzekła. (Widocznie w znanej dziecku hierarchji pan, noszący wymienione nazwisko, jest najważniejszą osobą!)

Gdy nauczycielka oglądając ręce dzieci zwróciła jednej dziewczynce uwagę na niewyczyszczone paznokcie, ta odpowiedziała śmiało: „Ja, proszę Pani, dziś sobie tak fest, morowo ręce wymyłam!" W połowie lekcji nastąpiła przerwa i dzieci zaśpiewały kilka wyuczonych dotychczas piosenek, którym towarzyszyły ruchy rąk.

Z przyjemnością patrzałam na rozradowane twarzyczki dzieci ale z żalem też myślałam: czy przy obecnych warunkach doczekam się kiedyś tej szczęśliwej chwili, kiedy radość i zadowolenie dzieci stanie się moją zasługą!?...

K. Karasiówna kurs. IV.

Prowadzenie lekcji.

Czemże się jest najbardziej przejętą na V. kursie, jeśli nie lekcjami praktycznemi, (nie mówiąc o końcu roku)! ?...

To też i ja, gdy sobie przyszyłam piąty pasek na czapce, gdy po wakacjach powitałam mury naszego zakładu, już przemyśliwałam jak to z temi lekcjami będzie? Nie mogłam sobie wyobrazić: ja w klasie—na środku—przed dziećmi—wobec tylu słuchaczy!...

Wreszcie wyobraziłam to sobie jako—tako i z zazdrością zgłosiłam się „na ochotnika" do prowadzenia historji w klasie IV-tej.

Zocha także miała prowadzić lekcję zaraz po mnie, więc przeżywałyśmy wspólnie obawy i wątpliwości. A była ich niezliczona ilość! Co zrobię, jak się zdenerwuję do tego stopnia, że nie będę mogła wydobyć głosu? Dzieci poznają moje zdenerwowanie!—

Czy Pan Dyrektor będzie na mojej godzinie, czy na Twojej? Jak my wywiążemy się z powierzonego nam zadania?—

Zośka zaczęła się nawet nad tem zastanawiać jakie wrażenie zrobi na dzieciach i zadecydowała, że ujemne. — W rozmowach, jakie prowadziłyśmy, nic innego słychać nie było, jak „elaboraty" pomoce naukowe i t. d. i t. d.

Wreszcie odprasowane na świeżo spódniczki,—wszystko przygotowane—idziemy w ten pamiętny dzień do szkoły. Tam gotuje się, jak w ukropie! Koleżanki jedna za drugą zamęczają mnie pytaniami: Jak się czujesz? Czy bardzo się boisz?—Nie mam czasu nad tem się zastanawiać. Bije ósma, rozlega się przeraźliwy dzwonek, na korytarzu chwila ruchu, bieganiny i wszyscy znajdują się w klasie. Przybył i Pan Dyrektor—zaczyna się lekcja. Wychodzą (zielona podobnc) na środek klasy—serce mi wali jak młotem—uspakajam się, jak mogę i zaczynam. Nie będę tej mojej próby opisywać ze szczegółami powiem tylko, że lekcyj praktycznych po dziecinnemu traktować nie, można! Jest to rzecz bardzo poważna, stawiająca nas, piątokursistki, na równi z gronem wychowawczyń. Powinnyśmy więc nie szczędząc sił i trudu, starać się o zdobycie tego miana, które niech nie będzie zapożyczonym pseudonimem, ale naszym chlubnym tytułem, rzetelnie zasłużonym!

A Tatarczuchówna V. kurs.

Wspomnienie.

Stałam na szczycie Kamiennej góry i patrzałam na cicho szumiące morze—na nasze własne polskie morze... U stóp moich potężny port dyszał kominami okrętów i statków przeraźliwym gwizdem witających lub żegnających przystań. Widziałam, jak wyjechał w świat daleki nasz „Kościuszko." Pruł wody Bałtyku, znacząc swą drogę wzburzonemi falami—żegnany niemilknącemi okrzykami z brzegu—aż zniknął w sinej dali...

Śizgały się po gładkich wodach małe łódeczki, wracały rybackie kutry i statki od Helu. Białe mewy wzlatywały wgórę lub opadały na fale... a morze szumiało... Szum ten łączył się z pieśnią legjonistów... W szare mundury ubrani, z weselem w sercach wracali z Jastarni. Szli nasi bracia od wschodnich Kresów i ze śląskiej ziemi, i tamci od Niemna, Warszawy, Krakowa, z gór szli i dolin, ze wsi i miasteczek —ramię przy ramieniu—ze śpiewem na ustach:



S. Różanka.

Legjony—to żołnierska nuta,
Legjony—to ofiarny stos!

Nie było między nimi żadnej różnicy, ni stanów, ni ziem—czuli się wszyscy synami jednej Ojczyzny, jednego naszego polskiego morza.

Zachodzące słońce rzucało krwawe promienie na krzyż stojący na górze, ostatnie purpurowe blaski ześlizgiwały się po gwarnem molo, załamywały się w wodzie—wreszcie zgasły...

Mrok otulił ziemię i chłodem powiało od wody, gdy małą łódeczką wypłynęliśmy na morze. Zabrzmiała pieśń rybacka „Hej! wichrowe życie nasze"... Tak wichrowe życie, pełne walk i zmagań z groźnym żywiołem ale i czaru pełne. Na niebo wzeszedł księżyc, srebrzyste światło rozlało się po falach. Tysiące gwiazd migotały nad nami, drugie tysiące odbijały się w wodzie... Gwar nadbrzeżny został daleko za nami...

Przybyliśmy do brzegu wsłuchani w poszum fal—upici czarem sierpniowej nocy...

S. Różanka.

Zjazd harcerski na Buczu.

W tym roku harcerki polskie obchodziły wielke święto, którem był wszechświatowy zjazd na Buczu. Jedyna w Polsce szkoła instruktorska, skupiająca w sobie życie harcerskie, nadawała się najlepiej na tę ważną dla nas chwilę. To też w szeregu drużyn, które rozbiły obozy w tej okolicy, znalazłyśmy się i my. Ogromnie byłyśmy ciekawe naszych sióstr—harcerek z zagranicy: jak wyglądają, jakie mają mundury i td. i nie mogłyśmy doczekać się pierwszego ogniska, które skupić miało dokoła siebie wszystkie uczestniczki zjazdu.

Nareszcie nadszedł oczekiwany wieczór 8 sierpnia. Wszystkie drużyny zajęły wyznaczone sobie placówki dookoła przygotowanego na ognisko stosu drzewa. Gdy lady Baden Powell—naczelna skautka świata rozpaliła ognisko, rozpoczął się pochód. Każda z nas, w pełnem umundurowaniu, z zapaloną lampka oliwną w ręce przesuwała się przed ogniskiem, podsycając je przez wylanie zawartości lampki na ogień. Korowód ten robił wrażenie zda się nieskończonego, świetlistego węża przesuwającego się wśród drzew i krzewów. Symboliczny ten obrzęd zjednoczył na ziemi polskiej przedstawicielki wszystkich narodów europejskich prócz Rosji i Niemiec i wysłanniczki dalekich zamorskich krain. I przesuwała się drużyna za drużyną w zupełnej ciszy—bez słowa, oświecone blaskiem ognia i znowu znikały w ciemnościach.

Gdy się skończył pochód nastąpiło otwarcie zjazdu. Pierwszy przemówił w serdecznych słowach prezes harcerstwa polskiego druh wojewoda Grażyński, następnie druhna Oleńka Małkowska, założycielka harcerstwa żeńskiego—przetłómaczyła słowa wojewody na język francuzki i angielski.

Teraz główna przedstawicielka, lady Baden Powell powitała nas gorąco, przyczem stwierdziła że harcerstwo polskie jest potężną i silną arterją harcerstwa światowego, że przezwycięży trudności i przeszkody, na jakie natrafia zresztą ta organizacja wszędzie mianowicie brak zrozumienia ogółu społeczeństwa dla idei i celów harcerstwa. Lady Powell złożyła nam życzenia tak szybkiego i pomyślnego rozwoju, jak dotychczas i wyraziła nadzieję, że w najbliższych 20 latach ilość polskich harcerek wzrośnie wtrójnasób (dziś jest nas 80 tysięcy). Następnego szeregu przemówień, niestety, nie rozumiałam, bo były wygłaszane w języku francuzkim lub angielskim i nikt ich nie tłumaczył. Na zakończenie uroczystości śpiewałyśmy harcerskie nasze piosenki, i za pośrednictwem druhny Oleńki Małkowskiej prosiłyśmy cudzoziemskie drużyny aby i one nam cokolwiek ze swego repertuaru zaśpiewały. Chętnie na to przystały, a nawet jedna francuzka uczyła nas swojej pieśni.

I tak spotkawszy się poraz pierwszy w życiu, nie czułyśmy się obce sobie: było nam razem swojsko, dobrze i miło. Wiedziałyśmy że i w tych cudzoziemkach—z innych państw i krajów—bije to samo serce harcerskie!

I. Niklówna III kurs.

Alarm! Alarm! krzyczymy wszystkie biegnąc z nad rzeki, gdzie myłyśmy naczynie. Zziajane, dopadłyśmy naszych namiotów, ubrałyśmy się błyskawicznie i stanęły w szeregu. Za kilka chwil, jakby w przeczuciu czegoś niezwykłego, skupione—siadłyśmy koło ogniska. Cisza panowała niezmącona tylko za nami bór sędziwy mamrotał wieczorne pacierze. A może chciał nam powiedzieć, ten dobry przyjaciel, że wieczór dzisiejszy nie jest zwykłym wieczorem, że jest to jakieś święto...

Buchnął płomień, snop iskier strzelił wgórę, a z piersi naszych poczęły, płynąć pieśni jedna za drugą. Śpiewałyśmy długo, a czarna ściana lasu wiernem echem nam wtórowała. Potem druhna opowiadała nam dzieje człowieka, który gdzie stąpił, tam budził radość i wesele. I dobrze temu człowiekowi było, bo miał zadowolenie wewnętrzne, w którem swe szczęście znajdywał... Nagle padło słowo komendy! Wszystkie stanęłyśmy na baczność, w milczeniu każda słyszała przyspieszone bicie własnego serca.

Coś nam mówiło—teraz będzie przyrzeczenie!

I tak w istocie było.

Nie wierząc uszom swoim, usłyszałam i moje imię wypowiedziane między innemi. Strach dziwny mnie ogarnął, kiedy wystąpiłam z szeregu... Za chwilę wszystkie po koleji powtarzałyśmy za druhną uroczyste słowa: „Mam szczerą wolę pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłuszną prawu harcerskiemu“.

„Jesteś harcerką“ brzmiała odpowiedź. I każda z nas poczuła, że jest harcerką. Poczuła wielkość idei swojej, ogrom powierzonego sobie zadania, ale zarazem uczuła moc i siłę do przezwyciężenia wszelkich trudności—aby każda wykonana praca godną była harcerki! Znowu cisza zaległa w naszym „mateczniku“.

Po modlitwie i hejnale rozeszłyśmy się do swoich namiotów, tylko drzewa zostały i opowiadały sobie szeptem, co widziały i słyszały...

I. N. III kurs.

Sprawozdanie z Kolonji Wakacyjnej.

Kolonja tegoroczna w „Orkanówce“ trwała ośm tygodni—od 4 lipca do 28 sierpnia i 29 kolonistek korzystało z wypoczynku w przepięknej okolicy przez cały ten czas, bez przerwy. Kierowniczkami były: w lipcu p. Bukowska, w sierpniu p. Królowa, a obie tak gospodarzyły, że zyskały wdzięczność i przywiązanie wszystkich nas.

W ciągu wakacyj urządziliśmy z „Orkanówki“ szereg wycieczek: do Rabki, na Turbacz, na Kudłoń i na niższe pobliskie góry. Chodziłyśmy na spacery mniej lub więcej dalekie, a najczęstszym celem naszych pielgrzymek była pięknie wijąca się wśród skał rzeka w Koninkach, gdzie używałyśmy przepysznej kąpieli.

Spędzałyśmy czas na grach i zabawach, w ogrodzie lub w lesie, korzystając, że pogoda w tym roku sprzyjała, jak nigdy. W „Orkanówce“ miałyśmy wszystkie warunki potrzebne do prawdziwego wypoczynku ciała i ducha—wokoło malownicze wzgórza, bliżej pachnące lasy i łąki—a w domu prawdziwie swobodną, życzliwą atmosferę.

Dostatnią a doskonałą kuchnią po za tem wszystkiem. Miło i wesoło spędzone wakacje miały i ten rezultat, że każdej z nas przybyło na wadze około 7 kilogramów.

W tym roku minęło dziesięć lat od czasu kiedy myśl zorganizowania kolonji wakacyjnej dla uczczenia naszego zakładu została urzeczywistniona. Na kolonję wybierano miejscowości podgórskie, jak Kojszówka koło Osielca (1 rok), Cięcina w Żywieckiem (3 lata), Ja-

szczurowa w Wadowickiem (3 lata). — Ostatnie 3 lata kolonja mieściła się w gościnnie otwartej dla uczennic willi Pana Dyrektora „Orkanówce" w Porębie Wielkiej u stóp Gorców.

W dziesiątą rocznicę zorganizowania tak zbawiennej dla naszego zdrowia instytucji, za tyle trudów i starań poniesionych przy urządzeniu kolonji, a zwłaszcza za prawdziwie ojcowską troskliwość o nas, za tyle serca i dobroci nam okazywanej Drogiemu Panu Dyrektorowi i Czcigodnemu Księdzu Profesorowi składamy najserdeczniejsze „Bóg zapłać!"

Kronika

W czerwcu odbył się w naszym zakładzie ustny egzamin dojrzałości pod przewodnictwem Pana Dyrektora w dniach 7—11. Wszystkie piątokursistki złożyły dowód sumiennej pracy i uznane zostały za dojrzałe.

Ostatni miesiąc nauki szkolnej, a zwłaszcza druga jego połowa była poświęcona wycieczkom, zwiedzaniu wystawy Wyczółkowskiego i t. p. — Pomiędzy pisemnym a ustnym egzaminem maturzystki nasze miały sposobność obejrzenia facsimile Księgi Umarłych, znalezionej w jednym z grobowców egipskich.

27/VI. Kurs I. zrobił wycieczkę do Skały Kmity pod przewodnictwem Pani Wychowawczyni.

Kiedy mówimy o wycieczkach, wyrażamy nadzieję, że ich uczestniczki będą na przyszłość uważniej słuchać tego, co im o danej okolicy mówi Pani, ucząca geografji lub przyrody. W ostatnim przedwakacyjnym numerze „Błysków" roztargniona uczennica zrobiła w swem sprawozdaniu błąd geologiczny, który na tem miejscu prostujemy: w rowie Krzeszowickim fliszu niema.

Nakładem Uczennic Prywatnego Seminarjum Naucz. Żeńsk. T. S. L. im. Fr. Preisendanza
Wyd. i odp. redaktor Jadwiga Brodowiczówna.
Redakcja i Administr: Kraków, Groble 7.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.